

## Johann Wolfgang Goethe „Cierpienia młodego Wertera” (fragmenty)

4 maja 1771

O jakże cieszę się, że wyjechałem! [...] Jest mi tutaj zresztą bardzo dobrze. Samotność to balsam nieoceniony dla mego skołatanego serca. Miejscowość, gdzie przebywam, to raj prawdziwy, a wiosna tu w pełni uroczych ponęt swych i rozkwitu. Drzewa, żywopłoty to jakby ogromne kwietne kiście, tak, że zbiera ochota zmienić się w chrząszczyka, nurzać się w tej wonnej toni i żywić się wyłącznie zapachem.

10 maja

Przedziwna pogoda ogarnęła moją duszę, niby owo zaranie wiosny, którym poję ciągle serce moje. Jestem sam i używam życia w całej pełni, bo zaprawdę, okolica ta stworzoną jest wprost dla dusz takich jak moja. Artysta, Bóg, Natura, Sztuka, Szczęście! Drogi przyjacielu, jestem tak szczęśliwy, tak bardzo utonąłem w ciszy słodkiego bytowania, że cierpi na tym sztuka. Niezdolny rysować, niezdolny położyć kreski, czuję mimo to, że nigdy większym nie byłem malarzem jak w tej chwili. [...]

22 maja

Życie snem. Niejednemu już wydawało się, że życie jest snem tylko, a i mnie uczucie to nie opuszcza ni na chwilę. [...]

16 czerwca

Czemu do ciebie nie piszę? — Pytasz o to, mimo że zaliczasz się przecież do uczonych. Wszakże powinienś być odgadnąć, że musi mi być dobrze... Krótko mówiąc, zawiązałem pewną znajomość, która dotyczy bliżej mego serca. Otóż... cóż mam powiedzieć? [...] Jestże aniołem? — Nie, tym mianem zowie pierwszy lepszy swą uwielbianą! Nie jestem jednak w stanie uzmysłowić ci inaczej jej doskonałości i nie mogę wyjaśnić, dlaczego jest doskonałą. Dostyc na tym, że wzięła w niewolę cały mój umysł. Jakże jest naiwna przy całym swym rozumie, jakże dobra, mimo stałości charakteru, jakże spokojną jest jej dusza, mimo ożywienia i ustawicznej ruchliwości! [...] O, jakże, podczas gdy mówiła, poilem się blaskiem jej czarnych oczu! Jakże pociągały mą duszę żywe jej usta i świeże policzki, jakże wtapiałem się w cudną treść jej słów, nie słysząc nawet często wyrażen, w jakie przybierała swe myśli! [...]

21 czerwca

Przeżywam dni tak szczęsne, jakimi pewnie Bóg obdarza swych świętych i cokolwiek by się potem ze mną stało, nie będę śmiał zaprzeczać, iż nie dostało mi się w udziale szczęście, najczystsze szczęście życia. Znasz już moje Wahlheim, otóż osiedliłem się tutaj na dobre, bowiem dzieli mnie tu od Loty jeno pół godziny drogi, tutaj żyję sam ze sobą i z niewysłowionym szczęściem, najwyższym, jakiego doznawać może człowiek. [...]

8 lipca

O, jakimże dzieckiem jest człowiek? Jakże łaknie jednego bodaj spojrzenia! Jakież z nas dzieci! Udaliśmy się do Wahlheimu. Panie pojechały powozem, a podczas przechadzki

wydało mi się, że czytam w ciemnych oczach Loty... Jestem głuptak... przebacz mi... ale gdybyś widział te oczy! [...] Śledziłem spojrzenie Loty, ale wodziła oczyma z jednego na drugiego. Tylko na mnie, na mnie, który stałem zrezygnowany, nie spojrzała ni razu. Serce moje żegnało ją czule! A ona nie patrzyła na mnie. Gdy powóz ruszył, miałem łzy w oczach. Patrzyłem za nią i nagle dostrzegłem wstążki na głowie Loty, wychylające się przez okno karetki. Obróciła głowę i obejrzała się za mną... za mną, ach! Drogi mój. Waham się w tej niepewności i ona jest mi pociechą! Może się za mną obejrzała! Może za mną! Dobranoc! O, jakimże dzieckiem jestem! [...]

13 lipca

O nie, nie łudzę się! Widzę w jej ciemnych oczach niekłamane współczucie dla siebie i zajęcie mą dołą. Czuję i mogę chyba tyle zaufać sercu memu... czuję... czyż wolno mi wyrzec to niebiańskie słowo... czuję, że mnie kocha! Kocha mnie!... O, jakiejże przez to sam dla siebie nabrałem wartości... o jakże sam siebie ubóstwiam, od chwili, kiedy mnie ona kocha? Mówię to tobie, bowiem zrozumiesz mnie! Nie wiem, czy jest to zuchwalstwo, czy jeno odczucie prawdy, ale... nie znam człowieka, z którego strony groziłby mi zamach na serce Loty. A jednak, ile razy mówi z takim ciepłem, z taką miłością o swym narzeczonym, wydaje mi się, że jestem człowiekiem, którego pozbawiono wszystkich dostojeństw i zaszczytów, człowiekiem, któremu odebrano szpadę. [...]

16 lipca

Słodkie uczucie przenika mnie całego, gdy dłoń moja przypadkiem dotknie jej dłoni lub gdy stopy nasze zetkną się pod stołem. Cofam się, jak gdybym się dotknął płomienia, ale przemożna siła pociąga mnie z powrotem i czuję zamęt we wszystkich zmysłach. [...] Świętą mi jest. Wszelka żądza gaśnie przy niej. [...]

19 lipca

— Zobaczą ją! — wołam budząc się rankiem i spoglądając radośnie na słońce. — Zobaczą ją!  
— Na cały dzień nie mam pragnień innych. Wszystko, wszystko skupia się w tej nadziei. [...]

30 lipca

Albert przyjechał, ja tedy muszę ustąpić. [...] Przyjechał narzeczonny! Jest to miły, zacny człowiek, któremu nic zarzucić nie można. [...] Zaciskam zęby i drwię z własnej głupoty, a drwię po dwa i trzykroć mocniej jeszcze z głupoty tych ludzi, którzy by mi tłumaczyć chcieli, że winienem zrezygnować i pogodzić się z tym, czego zmienić niepodobna. — Precz z tymi kukłami! Zazdrość— Włóczę się po lesie, a wróciwszy do Loty, widząc, jak siedzi z Albertem w altanie pod lipą, nie mogę wytrzymać i zaczynam takie błazeństwa, takie wybryki, takie stroję miny i wyplatam głupstwa, że trudno to sobie wyobrazić. [...]

21 sierpnia

Daremnie wyciągam ku niej ramiona rankiem, kiedy budzę się z gnębiących, przykrych marzeń, daremnie nocą szukam jej w łóżku swoim, gdym uległ złudzie szczęsnego, niewinnego snu, jakobym siedział wraz z nią na łące, trzymał za rękę i okrywał jej dłoń pocałunkami. Kiedy wonczas, na poły jeszcze rozespaniem ogarnięty, szukam jej omackiem i wracam do jawy, z oczu tryskają mi łzy, w sercu czuję bolesny ucisk i płacę, i żalę się beznadziejnej przyszłości mojej. [...]

3 września

Muszę jechać! Dziękuję ci Wilhelmie, żeś przeważył szalę mych chwiejnych postanowień. Od dwu już tygodni noszę się z myślą, by się z nią rozstać. Muszę wyjechać. Ona jest znowu w mieście u swej przyjaciółki razem z Albertem... — muszę jechać! [...]

16 czerwca 1772

Jestem, zaprawdę, jeno wędrowcem, pielgrzymem na tej ziemi! Czyż wy jesteście czymś więcej? [...]

3 września

Nie pojmuję doprawdy, jak ją może, jak śmie kochać inny, gdy ja ją kocham tak wyłącznie, tak bardzo, tak gorąco, kiedy niczego ponad nią nie znam, nie widzę i nie posiadam! [...]

22 listopada

Nie mogę się modlić: — Daj mi ją! — A jednak często zdaje mi się, że jest moja. Nie mogę się modlić: — Daj mi ją, — gdyż jest własnością innego. [...]

14 grudnia

Nie wiem, co to znaczy mój drogi, ale zaczynam się bać samego siebie! Wszakże miłość moja dla niej jest święta, czysta, braterska! Czyż odczułem kiedy w duszy jedno bodaj karygodne pragnienie? Nie przysięgnę zresztą... A teraz nachodzą mnie sny... O, jakąż słuszość mieli ludzie, przypisując te, tak zgoła odmienne przejawy siłom zewnętrznym! Tej nocy... nie śmiem ci wyjawić nawet... trzymałem ją w objęciach, tuliłem mocno do piersi i słodkie jej, szepczące słowa miłości usta okrywałem niezliczonymi pocałunkami. Oczy me wpatrzone były z upojeniem w jej oczy. Boże, jakże winnym się czuję, odczuwam bowiem jeszcze do tej pory tę rozkosz wielką, płomienną, niewysłowioną w całej pełni! Loto! Loto! Już koniec ze mną! Zmysły mi się mącą, od tygodnia nie mogę zebrać myśli, a oczy mam ciągle pełne łez. Nigdzie wytrzymać nie mogę, a wszędzie mi równie dobrze. Niczego nie pragnę, nie pożądam... Lepiej by było... dużo lepiej, bym odszedł... [...]

21 grudnia

Loto, ja chcę umrzeć, to rzecz postanowiona, donoszę ci o tym bez wszelkiej romantycznej przesady, spokojnie rankiem tego samego dnia, w którym ujrzę cię po raz ostatni. Kiedy to czytać będziesz, grób pokrywał będzie martwe zwłoki człowieka, który nie mógł zaznać spokoju, ni szczęścia, człowieka, który do ostatniej chwili życia nie zaznał większej rozkoszy nad rozmowę z tobą. [...]Umrę! To nie jest rozpacz, to świadomość, że brzemię doniosłem do kresu i że za ciebie składam ofiarę. Tak jest Loto, nie mam potrzeby przemilczać tego! Jedno z nas trojga musi zginąć, a przeto postanowiłem, że zginę ja. Tak, droga moja, różne myśli szarpały me biedne serce i wiły się w nim. Chciałem zamordować twego męża..., ciebie... wreszcie... siebie i tak się niech stanie! Gdy o pięknym, letnim wieczorze staniesz na wzgórzu, wspomnij wówczas, jak często szedłem ku tobie z doliny, potem spojrzysz ku grobowi memu, na którym wiatr kołysać będzie wysoką trawę, oblaną promieniami zachodu. Zaczynając ten list byłem spokojny, teraz jednak, gdy mnie otoczyły żywe wspomnienia, płaczę, jak dziecko.«

